Rok VI. 21 Stycznia 1934. Nr. 4

DZWONECZEK

Dzieci — aniołki.

Wiek dziecięcy przyrównuje się często do anielstwa i dlatego też dzieci nazywa się nieraz aniołkami. Jestże to prawda? No, bo i czemże, jeżeli nie aniołkiem na ziemi jest taka dziecina maleńka, co to niedawno dopiero na świat przyszła — i z początku obojętnie, a później coraz ciekawiej zaczyna się po nim rozglądać. Aniołkiem się też nam wydaje, gdy, licząc już sobie kilka miesięcy życia, uśmiecha się rozkosznie do rodziców, rączyny do nich wyciąga, trzepocząc — i od szczęścia aż się zanosi jakimś przerozkosznym śmiechem, którego nie potrafiłby nikt ze starszych naśladować. Albo jeszcze później, gdy języczek różowy zaczyna wykonywać przeróżne sztuczki, aby wypuścić z gardziołka pierwsze wyrazy ludzkiej mowy, ileż to szczęścia w domu sprawi takie pierwsze słóweczko z buzi słodkiej wyrzucone: „mama... tata".

A jeszcze później, o uszy dziecka obija się coraz częściej słowo matczyne „Bozia" i usteczka drobne powtarzają z przejęciem, jak echo: „Bozia... Bozia"..., gdy oczka tymczasem błądzą po ścianie, gdzie ponad łóżeczkiem wisi tej Bozi wizerunek. Przed nim wkrótce samo dziecko uklęka niezdarnie na oba kolanka i bałamutnie kreśli rączką znak krzyża po czole i piersiach.

I rośnie dalej taki aniołek kochany, aż pewnego razu uszom własnym wierzyć nie chcemy: „aniołek" wypowiedział jakieś brzydkie słowo!

— Jak, skąd, kto go tego nauczył? — pyta matka strapiona. A tu w niedługim czasie po pierwszem takiem słowie przychodzi drugie, trzecie... i tak dalej, i jeszcze dziecko swych dziecięcych lat nie ukończy, a już cały słownik brzydkich wyrazów zna i używa ich o każdej porze. W ślad za poszczególnemi słowami brzydkiemi idą całe zdania, potem jakieś przezwiska, zaklęcia, nawet przekleństwa — i tak postępuje ta nauka coraz dalej, że już się dziecku od tego trudno odzwyczaić.

Otóż o to właśnie chodzi, by się tego wcale nigdy nie nauczyć. Niech usta dziecinne będą zawsze czyste, niechaj przez nie nic brzydkiego w świat nie ulata. Postanówcie sobie zatem, mali Czytelnicy „Dzwoneczka", od dnia dzisiejszego tak strzec swoich warg przed jakiemkolwiek brzydkiem słowem, aby za rok, kiedy znowu, jak teraz, zbliżać się będzie dzień Matki Boskiej Gromnicznej, czyli święto Oczyszczenia, móc oczekiwać tej uroczystości sercem radosnem. Ustrzeże serduszko swego anielstwa i na rok następny znowu poleci je w opiekę Przeczystej Pannie. *Red.*

Nie dam ptaszkom zginąć z głodu...

Legenda.

Jezus był jeszcze małem chłopięciem, kiedy Go raz Matka zostawiła w domu samego. Była naonczas straszna zima. Tygodniami całemi mróz nie zelżał, śnieg nie tajał, toteż ludzie narzekali, mimo że im jeszcze jadła nie brakło po lecie dobrych urodzajów. Ale gorzej dokuczyła zima ptactwu. Na-

cierpiało się ono niemało. Ni się to gdzie schować przed mrozem i śnieżycą, ni się gdzie pożywić. A ludzie jeszcze biednego wróbla odganiali bez miłosierdzia od progu, by nie zjadł ziarna rzuconego dla drobiu. Padały też wróble po polach z zimna i głodu. Czasem tylko niektóry przytulił się pod jaką strzechę i czekał w słomie, kiedyby cichaczem porwać z podwórka jadło zostawione przez kury...

Właśnie zobaczył to mały Jezusek. Sprzykrzyło się w izbie samemu, więc owinąwszy się w chustkę matczyną, drzwi nieco uchylił i wyjrzał z progu. A tu, ot, dwa wróbelki wynędzniałe biją się o ziarnko pszenicy, które kogut zostawił na śniegu przed Józefową chałupą. Żal się Jezuskowi zrobiło. Aż Mu łzami zaszły oczy na myśl, że wróbelki zziębłe muszą być bardzo głodne. Szuka tedy po izbie coby można dać ptaszętom. Zobaczył na przypiecku miskę kaszy, więc wdrapał się na ławę, ściągnął naczynie i poniósł na próg. Nabrał kaszy w palce i rzucił garść wróblom.

Za chwilę cała gromada zleciała się przed próg Józefowej chaty. Jezusek ciągle stał w drzwiach i sypał na śnieg ziarno, a ptactwo cisnęło Mu się do nóg bez końca. Zlatywały całe stada i jadły chciwie, a ziarna nie brakło. Kaszy z miski nie ubywało, chociaż Jezus ciągle nabierał i sypał.

Naprzeciwko w oknie jakiegoś zamożniejszego domu wisiała klatka z kanarkami, które szarych wróbli nie lubiły, uważając się za coś lepszego. Chociaż więc dobrze były cały dzień karmione, teraz z zawiści podniosły głośną wrzawę. Uśmiechnął się do nich zdaleka Jezusek, wołając:

— Cicho, cicho, ptaszęta! Macie wy tam dość jadła, dajcie więc jeść spokojnie tym wygłodniałym, przeziębłym biedakom — i sypnął znowu na śnieg garść ziarna.

Wtedy z radości zaćwierkały głośno wróble, które dotąd były jeszcze nieme. Stwórca pozwolił im pierwszy raz głosem wyrazić wdzięczność Jezusowi i odtąd na Jego cześć ćwierkają wróble po świecie, dziękując Mu, że litości nauczył ludzi, którzy też szarym ptaszętom, za przykładem Chrystusa, nie dadzą wyginąć z głodu wśród zimy, ale sypią dla nich ziarno i okruszyny z własnych stołów. *Kazimierz Kalinowski.*

Kwiaty królowej Zimy

W pięknym pałacu z tafli lodowych królowa Zima mieszkała. Do swoich usług dziesięciu paziów i dziesięć panien miała. Spała w pościeli ze śnieżnych puchów i śnieżną szatę nosiła. Piękna korona z sopli lodowych głowę królowej zdobiła...

Pewnego razu zasiadła Zima na przeźroczystym tronie, rzucając wkoło władne spojrzenie, trzykroć klasnęła w dłonie. Na dane hasło dziesięciu paziów zjawiło się w tej chwili. W pokłonie pełnym uszanowania swe głowy pochylili...

— Jadę na spacer — rzekła Zima — więc przyszykujcie sanie. Niechaj mój zaprząg przed pałacem za dziesięć minut stanie.

Wnet się rozbiegli paziowie Zimy wypełnić rozkaz pani. A w dziesięć minut już królowa siadała do swych sani. Cały dwór Zimie towarzyszył z paradą niebywałą: dziesięciu paziów w strojnych szatach przy boku jej jechało, a dziesięć panien przed królową sypało śnieżne kwiecie, aż od ich płatków bielusieńko zrobiło się na świecie...

Leci na ziemię śnieżek biały,
Drgają w powietrzu płatki...
I nie wie nikt, że to są właśnie
Królowej Zimy kwiatki.

J. Hankiszówna.



Muszę Państwu przedstawić moich przyjaciół. Nie mam ich wielu, tylko jedenastu... Prawda, że to jeszcze mało. Na razie jednak wystarczy, bo mam z nimi dużo kłopotu. Ot, mylę się jeszcze w ich imionach. Kiedy chcę naprzykład zawołać na Pikusia, zawsze mi na język przyjdzie Fikuś albo Mikuś. A podobni wszyscy trzej do siebie, jak trzy krople wody... Pewnie Państwo sami poznacie, o których ja tu mówię. Zato Łatka do nikogo nie jest podobna i zarazbym ją Państwu pokazał, tylko boję się ruszyć, bo fotografja się zepsuje. Ale Łatkę znaleść nietrudno. Również łatwo zauważyć Gogusia, bo ma na prawem oczku ciemne włoski, co tak wygląda, jakby nosił kolorowe szkiełko, a on przecież okularów nie używa. Strasznie się kochają z Mruczkiem, któryby sam tylko chciał się z nim bawić i dlatego odpędza zawsze Dadę, przez co ona jest taka smutna. Wziąłbym ją sobie zaraz na drugie kolanko, cóż, kiedy pan fotograf nie pozwala ani drgnąć. Prawda, że nudny jest taki pan z czarnym aparatem. Jeszcze strasznie kochany jest Pimpuś z pyszczkiem całym w kropkach, i Lelek, ale ten nie życzy sobie być sfotografowanym i dlatego tylko ogonek wystawił na pokaz. Jest jeszcze Tygryś i Smoczek, lecz też niewiele widać ich będzie na zdjęciu w „Dzwoneczku". Chcecie jeszcze Państwo pewnie wiedzieć, jak ja się nazywam... Jestem Tadzio. Do szkoły jeszcze nie chodzę, ale za dwa latka pewnie już pójdę, a wtedy chciałbym bardzo uczyć się tam razem ze wszystkimi moimi przyjaciółmi... Tylko nie wiem, czy tatuś, mamusia i pan nauczyciel na to się zgodzą... A co Państwo o tem myślicie?

Przez raj Palmalu

Pamiętnik Janka Orszy z Borówki.

(Ciąg dalszy.)

Przeważną część drogi odbywaliśmy przez Argentynę, gdzie poznałem owe stepy, zwane „pampas", na których słynni z szalonej odwagi jeźdźcy — „gauczos" — wypasają niezliczone trzody bydła i owiec, koni i mułów. Poznałem i tych osobliwych pasterzy bliżej, ponieważ tu i ówdzie wsiadali do naszego pociągu. Wolałem jednak patrzeć na nich zdaleka, z okien wagonu, kiedy się wśród swoich stad uwijali po stepie na niezbyt wysokich koniach z krótko przyciętą grzywą. Ogorzali, zwykle z gęstą, czarną brodą, noszą pilśniowy kapelusz z kresami w dół wygiętemi.

Całe ciało okrywa wełniana płachta w różnokolorowe pasy, zwana „ponczo“, jakiej mężczyźni używają wszędzie na zachodzie Ameryki Południowej. Kwadratową tę tkaninę wciąga się przez głowę umyślnym otworem, a osłania ona obie ręce, zwisając po kolana. Jeźdźca bez poncza trudno spotkać, a gaucza argentyńskiego nigdzie nie widziałem bez tego okrycia. Noszą oni przy długich butach tak duże ostrogi i strzemion, z drzewa zrobionych, tak dużych używają, że gdyby taki jeździec zjawił się w polskiej wsi, toby się chyba na śmiech naraził. Przy siodle z prawej strony gaucz ma zwinięty długi rzemień z kulą na końcu, tak zwane „lasso“, do chwytania w pędzie dzikich koni lub byków. Jak zaś owi półdzicy pasterze władają tem zręcznie na stepie, mogłem się nieraz przekonać naocznie i nigdy tego widoku nie zapomnę.

W dalszym ciągu drogi koleją, stepy ustąpiły krajobrazom górskim: przeprawialiśmy się bowiem przez Andy, nad któremi w tych stronach króluje najwyższy szczyt amerykański, Akonkagua; poczem już wkrótce pociąg wysadził nas w stolicy rzeczypospolitej Chili. W Sandiego zatrzymaliśmy się nieco dłużej, by obejrzeć gabinety przyrodnicze, pełne zbiorów fauny i flory, a więc świata zwierzęcego i roślinnego południowo-amerykańskiego. Tutaj też kupiliśmy odpowiednie ubrania dla nas obu z mocnego żaglowego płótna. Pan Stefan sprawił sobie nowy kapelusz słomkowy, którego zwykle używał, o ile nie było trzeba kłaść nieprzemakalnej czapki; ja zaś uzbroiłem swoją głowę przed słońcem w bardzo wygodny hełm z amerykańskiej słomki, opasany białą ceratką, którą w razie potrzeby tak się na nim rozpina, by kapelusz, zamiast od upału, mógł chronić od deszczu. Tutaj też zaopatrzyliśmy się w dobre strzelby i rewolwery, a przez ramię na białe bluzy nałożyliśmy sobie pasy z podręcznemi nabojami.

Nakoniec gotowi do dalszej podróży, wsiedliśmy jeszcze raz do wagonu kolejowego, by się dostać do sąsiedniego portu Valparaiso, skąd statek miał nas wieść znowu na północ po spokojnych falach oceanu Wielkiego, wzdłuż zachodnich wybrzeży Chili i Peru. Po tygodniu, pożegnawszy drugi już w naszej podróży ocean, wysiedliśmy w peruwiańskim porcie Callao, skąd zaczęliśmy się wdzierać z powrotem w głąb lądu i to znowu zmierzając ku wschodowi.

C. d. n.

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

Szarada.

Pierwsza zgłoska tyle warta
I temsamem jest co *czwarta*,
Druga zaś sama, lub z *pierwszą* razem,
Zawsze zaimkiem, a więc wyrazem.
Trzecia-czwarta rzecz kuchenna,
W niej się praży mąka pszenna.
Gdy gra *całość* — dzieci w pląsy,
Starsi zato stroją dąsy.

Szarada.

Pierwsza-trzecia kruszec biały,
Pierwsze-drugie będą grały.
Cała-owoc u nas znany,
Choć od obcych sprowadzany.

Rozwiązanie zagadek, zamieszczonych w numerze drugim.

Zagadka literowa: łyżwy — wyżły.
Szarada: a-ster.

ODPOWIEDZI „DZWONECZKA".

Antoniemu Łazarczykowi w Ostrowie pod Baranowiczami i **Stasiowi Szelężnikowi** w Bolechowicach, serdecznie dziękujemy za miłe życzenia i cieszymy się bardzo, że „Dzwoneczek“ jest tak kochany przez swych czytelników.